

Rejsy

Pomysły humanisty

Janina Wieczerska



Problem społeczny

Problem wcześniejszego lub późniejszego przechodzenia kobiet na emeryturę nie jest moim osobistym problemem (już przedtem wysokość zasiłku pogrzebowego, ale i to realnie nie mój problem), jednak jako człowiek - animal sociale - czuję się dotknięta projektem podniesienia progę emerytalnego do sześćdziesięciu pięciu, a w innej wersji - nawet do sześćdziesięciu siedmiu lat. To prawda, że postęp cywilizacyjny przedłużył możliwość aktywności zawodowej o kilka lat, o tyle samo mniej więcej także „przeżywalność” populacji, ale z tego wcale nie wynika, że dla społeczeństwa obecność w pracy pań bliskich siedemdziesiątki miałyby być korzystna.

Z tego co słyszę, nie są one szczególnie lubiane w zakładach pracy. Młodzi pracownicy uważają, że starsze panie blokują etat i awanse, więc wzdychają pokątnie: „kiedyż ona wreszcie pójdzie na emeryturę?”. Świat zmienia się teraz szybciej niż w którejkolwiek z epok wcześniejszych. Doświadczenie i rutyna spadają w cenę, w górę idą mobilność, pojemność i zdolności przystosowawcze. Cechy spo-

łecznie pożądane, ale czy również pozytywne w życiu prywatnym, ściśle - w rodzinnym? Rodzina źle znosi pośpiech, zmienność, brak stabilności. Tu właśnie doświadczenie życiowe, to coś, co ja sobie nazywam „epickim stosunkiem do świata”, jest czynnikiem tonizującym napięcia i spięcia, niecierpliwość, lęk. Babcią w rodzinie pełni funkcje pocieszające i doradcze w sytuacjach konfliktowych lub stresujących. Jest wsparciem i instancją odwoławczą, z prawem łaski. Spytajcie młode mamy - każda wam powie, że „babcia na chodzie” to skarb.

Poza tym babcia to osoba, która wie, „co było dawniej”. Podtrzymuje ciągłość tradycji rodzinnej i społecznej. Opowiada. Młodzi nie mają czasu na opowiadania, komentują tylko zdarzenia bieżące - mecz, zmianę dyrektora, no i to, „co było w telewizji”. Co jest zrozumiałe i oczywiste: oni jeszcze nie mają przeszłości.

Szkoda by było, gdyby panie przechodziły na emeryturę, mając już „wszystkiego dość”.

My w Europie

Jan Chrzan



Nad Żółtą Rzeką

Przed wojną w obrazie ulicy nigdy nie brakło osobników w mundurach. Ledwie uświadom czytacz, a już wiedziałem, że czapki z czarnymi otokami nosi kłanij i saperzy, a żółte otoki i proporczyki na kornierzach, plus szable i ostrogi, to popularny pułk ułanów księcia Ponia-towskiego. W wyprawie na Kijów dotarł w bojach do Prypeci, co stawiła przysiężka - żurawiejka „Myśmy byli nad Prypecią, opowiedzcie o tym dzieciom”. Inna żurawiejka „CK grafiy i barony, ósmy zdobi nam salony” mówiła o arystokracji, zwyciężajono w tym pułku zaliczającej wojsko, by potem bywać na ułarskich świętach jako oficerowie rezerwy.

Liczne było wojsko II RP. Zanim Rzeczka w 1939 r. wysnęła rozszczenia do Gdańska - pod bronią było 283 tys. żołnierzy i elitarny 26-tysięczny Korpus Ochrony Pogranicza, a po mobilizacji, z winy alian-tów tylko częściowo udane, stan wynosił ok. 900 tysięcy. Pod koniec wojny LWP u boku Krasnoj Armii liczyło 440 tys. żołnierzy, a w Polskich Siłach Zbrojnych u alian-tów było ich 100 tysięcy. Taki zbrojny wysiłek uzasadnił w 1990 r. wystu-

chanie strony polskiej w rok-waniach „2 plus 4” z RFN i NRD, ułatwiają uregulowanie kwestii granicznych.

W XXI wieku nasza zawodowa już armia wyparowała bez śladu. Plajują garnizony miasteczka, wiatr hula w pustych koszarach, rdzewieją rozbrojone czołgi, myszy gryzą sorty mundurowe, a wszystko jest za grosze do nabycia. By pokazać dzieciom, jak wygląda polski żołnierz, trzeba wynająć grupę rekonstrukcyjną w mundurach z epoki insurekcji kościuszkowskiej lub późniejszych powstań. Nasi chłopcy w Afganistanie na sesjach wyjazdowych strzegą granic III RP wysuniętych tysiące kilometrów na wschód.

W kraju nie nam podobno nie grozi co najmniej przez dwie dekady, więc można by poprzestać na kilku kompanijkach i szwadroniku jazdy na uroczystych zmianach wart. Radziłbym jednak tak myślącym obejrzeć w internecie choćby filmik „CHINA 60” z deflady w 2009 r. w Pekinie. Tę sięgającą po horyzont i przerażającą ogromem rzekę wojska i sprzętu, której nikt i nic chyba nie zdołałoby się oprzeć.

Co robić, zanim staniami się buddą

O polskich buddystach, o tym, czym jest karma i jak osiągnąć szczęście – opowiada buddyjski nauczyciel Lama Ole Nydahl w rozmowie z Marcinem Mindykowskim

Lubi Pan powtarzać, że buddyzm Diamentowej Drogi jest jak diament – odbija kolor otoczenia, nie tracąc jednak nic ze swojej esencji i blasku. Jak w takim razie jest polski buddyzm? Najłatwiej byłoby powiedzieć, że tęczyowy. Ale myślę, że polski buddyzm jest koloru czernego – oczywiście nie w sensie politycznym, ale emocjonalnym. To kolor krwi: symbolizuje głębokie uczucia, nadzieje i idealizm. Buddyzm jest najlepszym diamentem ze wszystkich religii, dlatego że zawiera w sobie wszystko, czego oczekują od swojego życia ludzie, którzy chcą uczynić je ważnym. W Polsce i w innych częściach Europy przyciągamy coraz więcej osób, ponieważ jesteśmy religią doświadczenia. Ludzie dostają od nas komunikat, żeby sami czegoś doświadczali, a nie tylko wierzyli na słowo.

Szkoda by było, gdyby panie przechodziły na emeryturę, mając już „wszystkiego dość”.

W Polsce potrzeba wiary w wyższą siłę, która ingeruje w nasze życie, jest jednak silna. Czy trudno szerzyć więc tutaj buddyzm, który jest raczej pragmatyczny i skupia się na relacjach wewnątrz- i międzyludzkich?

W Europie jest naprawdę wielu buddystów, więcej niż w innych miejscach na świecie. Najwięcej jest nas w Niemczech, dlatego że zaczęliśmy tam nauczać wcześniej i wszystko jest świetnie zorganizowane – założyliśmy tam już 140 ośrodków. W dużo większej Rosji mamy ich około 150. Polska jest gdzieś pomiędzy tymi dwoma krajami. Kiedy potrzebuję zebrać w tydzień tysiąc osób, dzwonię do Europy. Ale kiedy potrzebuję 10 tysięcy w jeden dzień, dzwonię do Polski. Bo wiem, że jeśli będzie taka potrzeba, moi polscy przyjaciele rzucą wszystko i przyjadą ze mną pracować.

Jak został Pan buddyjskim nauczycielem – lamą? Prawdopodobnie byłem nim w poprzednim życiu, bo zawsze interesowałem się wschodnią Azją. W 1968 roku moja żona i ja po raz pierwszy pojechaliśmy do Nepalu i spędziliśmy tam cztery lata. Spotkaliśmy najbardziej ekscytujących i przekonywujących lamów. Mieliśmy dużo szczęścia – wcześniej studiowałam filozofię, więc nie musieliśmy zaczynać od pobytu w klasztorze i studiowania ksiąg, tylko spę-

dzaliśmy czas na rozmowach z tymi niezwykłymi, mądrymi joginami. Przekonali nas, że możemy się rozwijać, używając buddyjskich metod. Podczas tych spotkań nie brakowało też humoru i zabawy. Do dziś pamiętam wielkie uśmiechy na twarzach naszych nauczycieli...

W końcu XVI Karmapa, zwierzchnik tybetańskiej buddyjskiej szkoły Karma Kagyu, wybrał Pana na osobę, która będzie szerzyć buddyzm w zachodniej Europie... Powiedzieli nam: „Sprawdźcie, czy wasi przyjaciele nie chcą nauczyć się naszych metod”. Okazało się, że chcieli – dziś mamy 620 ośrodków na całym świecie...

Regularnie je Pan odwiedza, dwa razy do roku objeżdżając cały świat. Ma Pan w ogóle dom czy przy takim trybie życia spędza Pan cały rok w podróży?

W niektórych miastach, w których regularnie bywam, mam w ośrodkach buddyjskich pokój, z którego mogę korzystać. Zawsze mogę tam wejść, przebrać się i zostawić ubrania do czasu, kiedy będę tam następnym razem. Cóż, jestem koczowniciem na pełen etat (śmiech).

Zanim zainteresował się Pan buddyzmem, był Pan hippisem...

Ale nigdy nie wyglądałem jak hippis... Wcześniej przez cztery lata byłem też bokserem, uczyłem się wielu różnych rzeczy. Zawsze bardzo interesowałem się umyśłem – jak wiele osób w tamtym czasie. Moja praca dyplomowa z filozofii dotyczyła Aldousa Huxleya i jego słynnych esejów – „Filozofii wieczystej”, „Drzwi percepcji”, „Niebia i piekła”. Był niezwykłym człowiekiem.

Początkowo zajmował się Pan też przemytem narkotyków... Na początku przemyciałem złoto (śmiech). W tych eksperymentach życiowych chodziło o to, żeby poznać umysł i zobaczyć, jakie ma możliwości.

I stwierdził Pan, że buddyzm jest lepszą drogą do poznania umysłu niż środki psychoaktywne?

Tak. Nie przestałem jednak jeździć szybkimi motocyklami czy skakać ze spadochronem – ciągle sprawdzam więc mój stary umysł w różnych, niecodziennych sytuacjach. Ale

jedyną rzeczą, która daje odpowiedź na wszystkie pytania i wszystko w sobie zawiera, jest buddyzm. Nauki Diamentowej Drogi są naprawdę niesamowite.

Jak bumerang powraca pytanie – czym jest buddyzm? Religia, systemem filozoficznym? To „ligia”, nie „re-ligia”. Łączy wszystko razem, ale nie robi tego ponownie – jak „re-ligia” [łaciński termin „religare” znaczy „łączyć, związywać coś ponownie” – red.] – bo my nigdy nie opuściliśmy raju. Często zachowujemy się jak ludzie obdarzeni dobrym wzrokiem, którzy potrafią zobaczyć wszystko dookoła, ale nigdy nie spoglądają w lustro i nie widzą własnej twarzy. Buddyzm uczy właściwego patrzenia na rzeczy. W efekcie postrzegający, samo postrzeganie i to, co jest postrzegane, stają się jednym. To stan pełnego rozwoju, doskonałości.

Z powodu łatwości w dopasowywaniu się do współczesnego świata buddyzm ma jednak wielu oponentów. Sugerują oni, że to złożona z kilku zgrabnych bon motów i uniwersalnych moralów pop-religia – nie polemizuje z zachodnim, konsumenckim stylem życia ani nie kwestionuje osiągnięć nowożytnej nauki. Naszym celem jest przyniesienie ludziom pożytku. Nie obiecujemy im jakiegos raju po śmierci, koncentrujemy się na życiu tu i teraz. I jeśli ludzie czerpią z tego korzyści, czują, że robię tu, co powinienem.

Jesteście dziś najpopularniejszym na Zachodzie, ale nie jedynym odłamek buddyzmu.

Budda miał bardzo inteligentnych uczniów. Wszyscy, którzy naucał, byli na poziomie Sokratesa, Platona, Sofoklesa, Diogenesa, Arystotelesa czy Heraklita. Co więcej, tuż przed śmiercią powiedział: „Mogę umrzeć szczęśliwym, nie zatrzymałem żadnej nauki w zamkniętej ręce – wszystko, co może wam przynieść pożytek, już wam dałem”. Ponieważ niektórzy uczniowie zaczęli pytać: „W co powinniśmy teraz wierzyć?”, co trafiło fanaty-zmem, Budda powiedział również: „Nie wiercie nawet w jedno moje słowo tylko dlatego, że wypowiedział je Budda – ale sprawdzajcie wszystko sami”. A jego ostatnie słowa brzmiały: „Bądźcie swoim własnym przewodnim światłem”, czyli – jak byśmy to dzisiaj ujęli – „Ufajcie swojej krytycznej inteligencji”.

Buddyzm uczy, jak unikać cierpienia. Tymczasem chrześcijaństwo przekonuje, że cierpienie uszlachetnia, czyni nas lepszymi. Uważa Pan taki pogląd za nieprawdziwy? Nie, to dobry pogląd dla tych, którzy tak myślą. Wszystkie do



Wykłady Lamy Ole Nydahla były zwieńczeniem IV Ogólnopolskiego Festiwalu Kultury Buddyjskiej „Przeźrzeć Umysłu”, który na przełomie listopada i grudnia odbył się w Sopocie

Jakie jest w tym miejsce buddyzmu Diamentowej Drogi? Budda zostawił po sobie wiele nauk: 108 ksiąg – czyli Kandziur – które zawierają 84 tysiące nauk. Pierwsze 21 tysięcy z nich, Winaja, dotyczy przywiązania, drugie 21 tysięcy, Sutra – gniewu, a kolejne 21 tysięcy, Abidharma – niewiedzy i pomieszania. Ostatnia grupa 21 tysięcy nauk – nazywana Diamentową Drogą lub wadźżrajaną – zawiera wskazówki, jak zachowywać się jak budda, aż do momentu, kiedy sami się nim staniemy.

Jesteście dziś najpopularniejszym na Zachodzie, ale nie jedynym odłamek buddyzmu.

Budda miał bardzo inteligentnych uczniów. Wszyscy, którzy naucał, byli na poziomie Sokratesa, Platona, Sofoklesa, Diogenesa, Arystotelesa czy Heraklita. Co więcej, tuż przed śmiercią powiedział: „Mogę umrzeć szczęśliwym, nie zatrzymałem żadnej nauki w zamkniętej ręce – wszystko, co może wam przynieść pożytek, już wam dałem”. Ponieważ niektórzy uczniowie zaczęli pytać: „W co powinniśmy teraz wierzyć?”, co trafiło fanaty-zmem, Budda powiedział również: „Nie wiercie nawet w jedno moje słowo tylko dlatego, że wypowiedział je Budda – ale sprawdzajcie wszystko sami”. A jego ostatnie słowa brzmiały: „Bądźcie swoim własnym przewodnim światłem”, czyli – jak byśmy to dzisiaj ujęli – „Ufajcie swojej krytycznej inteligencji”.

Buddyzm uczy, jak unikać cierpienia. Tymczasem chrześcijaństwo przekonuje, że cierpienie uszlachetnia, czyni nas lepszymi. Uważa Pan taki pogląd za nieprawdziwy? Nie, to dobry pogląd dla tych, którzy tak myślą. Wszystkie do

satsyfikacjonuje ludzi, jest dla nich dobre. Natomiast z buddyjskiego punktu widzenia cierpienie jest skutkiem niewiedzy. Podejmujemy błędne wybory: chwytamy za ostrze noża zamiast za jego rękojęść – i jesteśmy zaskoczeni rezultatem. My, buddyści, uważamy, że należy ograniczyć cierpienie do takiego poziomu, w którym mamy nadmiar dla innych – i dzięki niemu możemy coś dla nich zrobić. Inaczej nieustannie borykamy się z własnymi problemami i nie mamy przestrzeni, by przynieść ludziom pożytek. Przyczyną całego cierpienia jest właśnie to – skupienie się przede wszystkim na sobie zamiast na innych.

A moralne reguły, które pomagają w drodze szczęścia? Istnieje przyczynowość, czyli karma, która jest często źle rozumiana jako preznaczenie. Tymczasem to my sami stwarzamy naszą karmę – nasze obecne działania z pewnością przyniosą rezultaty w przyszłości. Pozytywne czyny prowadzą do szczęścia, a negatywne do cierpienia. Zwykle nie doświadczamy rezultatów w tym życiu, bo przetwarzamy nasze wrażenia przez zmysły, więc nasz umysł jest ciągle zajęty. Dopiero kiedy umieramy, zmysłowe wrażenia znikają – i wtedy do głosu dochodzi treść naszej podświadomości.

I ona ma wpływ na nasze przyszłe życie, kolejne wcielenie? Tak. To zależy od tego, co jest w nas najsilniejsze: chęć przy-wódtwa, duma, zazdrość, pożądanie, pomieszanie, chciwość, gniew... To, jakie rodzaje genów otrzymamy, zależy od tego, jak traktowaliśmy innych w naszym ostatnim życiu. Podobnie jak to, w jakim środowisku się urodzimy – czy w północnej Europie, która jest dobrzym miejscem do

nienawidzić, bo to kompletnie głupie. Kiedy nienawidzimy ludzi, zatrzymujemy ich w umyśle. Rozmyślając o nich intensywnie, podnosimy tym samym ich znaczenie w swoim życiu i przejmujemy ich cechy. Lepiej jest żyć im dużo szczęścia... ale daleko stąd. Następna rada: „Nie bądź zazdrosny o kogokolwiek, bo to niszczy czyjeś życie”. Jeśli pojawiają się w umyśle negatywne myśli i złe życzenia dla innych, chęć odebrania im radości, jest to sprzeczne z nauką o przyczynie i skutku. To, co ludzie dostają od życia, zależy od ich karmy. Jeśli w poprzednich życiach byli dobrymi ludźmi, mają dobre rezultaty. I ostatnia rzecz: warto używać tego, co się wydarza w naszym życiu, jako nauki, jak lustra, w którym się nieustannie przeglądamy – i wyciągać z tego wnioski. Patrząc na innych łatwo powiedzieć: „To przytrafiło się z powodu ich negatywnej karmy”. Ale kiedy chodzi o nas samych, za każdym razem zastanawiamy się, jak mogło to się nam przydarzyć: „To musiało być jakieś straszny peach...” (śmiech).

W buddyzmie wyróżnia się trzy fundamentalne, dobre uczucia... To nieustraszonosć, spontaniczna radość i aktywne współczucie. I one następują jedno po drugim. Kiedy medytujemy, odkrywamy, że nie jesteśmy ciałem, które staje się stare, chore i umiera. Nie jesteśmy też myślni ani uczuciami, które cały czas przychodzą i odchodzą – przecież nie możemy być czymś, co ciągle się zmienia. Odkrywamy więc, że jesteśmy przestrzenią, która sprawa, że wszystko jest możliwe, która widzi i rozumie, co dzieje się dookoła. Chociaż wszystko przychodzi i odchodzi, świadomość postrzegająca jawiśka jest cały czas obecna. Kiedy więc odkrywamy, że umysł nie jest rzeczą, tylko przestrzenią – bogatą, pełną możliwości – najpierw stajemy się nieustraszeni. Od tej pory przedstawiamy być jak ludzie, którzy chodzą do kina w nadziei, że zobaczą dobry film – ale zaczynamy czuć się coraz bardziej jak właściciele kina. Nie jest ważne, czy film będzie trochę lepszy czy trochę gorszy – ważne jest tylko to, żeby w ekranie nie było dziur i żeby projektor działał. Wreszcie rozglądamy się dookoła, z tego poziomu nieustraszonosci i radości, i dostrzegamy innych. Ich jest więcej, a ja jestem jeden, więc może ważniejsze jedno: „Sprawdź, kto jeszcze ma coś do powiedzenia – i daj mu szansę, wysłuchaj go”.

Pewnie najważniejsze rady dotyczą jednak umysłu... Tak. Ważne, żeby nikogo nie

życia, czy np. w Ugandzie, Kongu albo Birnie. Wpłynię to również na rodzaj motywacji, jaką będziemy mieć – czy naturalnie będziemy starali się pomagać innym, czy też będziemy chcieli im szkodzić i sami na tym skorzystał. To z kolei będzie miało wpływ na nasze następne życie.

I nie ma moralnego systemu, zespołu uniwersalnych zasad? Oczywiście, że jest, ale nie na zasadzie osądu. Budda nie twierdził, że nas stworzył – ale że sami się stworzyliśmy. Wyłoniliśmy się z przestrzeni. My, a konkretnie nasz umysł, istnieliśmy od zawsze. Jesteśmy wyrazem ponadczasowej wiedzy, przestrzeni, w której zakodowane są nasze podstawowe cechy i informacje. Skoro więc Budda nas nie stworzył, nie może nam mówić, co mamy robić. Daje nam rady, a nie przykazania i nakazy.

I jakie to rady? Radzi, żeby być dobrym dla innych, dawać im szczęście, nie wykorzystywać ich i nie krzywdzić – także w sferze dotyczącej naszej seksualności. Żeby dawać innym to, czego potrzebują, nie oszukiwać ich ani nie okradać. Są też rady dotyczące mowy: „Nie kłam, bo ludzie wpadają przez to w kłopoty, nie intryguj”. „Używaj swojej wiedzy, żeby pomóc innym się rozwijać – tak by mężczyźni środek ciężkości swoich zainteresowań przenosił stopniowo z piwa i piłki nożnej na osiągnięcia nauki, a kobiety od mody i kolorowych żurnali przechodziły np. do literatury. I jeszcze jedno: „Sprawdź, kto jeszcze ma coś do powiedzenia – i daj mu szansę, wysłuchaj go”.

Pewnie najważniejsze rady dotyczą jednak umysłu... Tak. Ważne, żeby nikogo nie

Z jednej strony buddyzm głosi potęgę umysłu – prze-

konuje, że jesteśmy panami swojego życia, że sami siebie tworzymy. Z drugiej jednak – mówicie, że życie jest snem, że nic od nas nie zależy. Nie ma tu sprzeczności? Życie jest snem w tym sensie, że ciągle się zmienia. Nie możesz znaleźć w nim niczego trwałego, czegoś, co nie przemienie. Ale z drugiej strony sami tworzymy nasze życie. Trzeba między tym balansować – na takim poziomie, jaki rozumiemy. Musimy zrozumieć, że jeśli robimy, myślimy i mówimy pozytywne rzeczy, odpręża to nasz umysł, nasze wnętrze staje się coraz bogatsze i mamy coraz więcej życiowego doświadczenia. I osiągnąć ten wyższy poziom, dostarczamy, że wszyscy ludzie są takimi jak my i podobnie się zachowują. Znowu robimy więc coś dobrego i znowu zdobywamy kolejne doświadczenie. Stopniowo ograniczenia umysłu znikają i możemy doświadczać coraz więcej. W końcu dochodzimy do poziomu umysłu, na którym jestem dziś ja – stanu, w którym jest również wiele piękna na zewnątrz i wewnątrz, w którym wszystko jest pełne znaczenia. Na tym poziomie nie biegamy już za rzeczami, które nas otaczają, które do nas przychodzą, tylko spoczywamy w równowadze we własnym umyśle. Życie zaczyna być bardzo proste... W końcu stajemy się szczęśliwymi ludźmi, którzy po prostu robią to, co mają akurat pod nosem (śmiech). I traktują wszystkich jak przyjaciół.

Te często przypisywany buddystom spokój ducha, usuwanie emocjonalnych stanów yo-yo, to cel czy narzędzie do osiągnięcia celu? Myślę, że to dzieje się samo z siebie. Kiedy żyjesz w buddyjski sposób, przekształcają się uczucia w naturalny sposób odchodzą i pojawiają się pozytywne wrażenia. To bardzo przyjemny i pełen radości cel.

Nauczacie, że szczęście jest najwyższym celem, a cierpienie to nieporozumienie, którego łatwo można uniknąć, zna-

jąc naukę o przyczynie i skutku. Ale nakładacie też na ludzi obowiązek walki z własnym ego. Jak to pogodzić? To jak przemiana dzikiego zwierzęcia w domowe. Pomagasz innym, robisz coś dobrego i stopniowo problem sam się rozwiązuje. Na początku mówisz: „Ja zrobiłem coś dobrego”. Ale w końcu coraz bardziej pochłania cię pomaganie innym i przestajesz tak mówić, bo masz świadomość, jak wiele jest do zrobienia. W ten sposób ego stopniowo zanika. Zaczynamy rozumieć, że nie ma nic osobistego, co jest trwałe. Osobiste jest nasze ciało, nasze myśli i uczucia – one wszystkie cały czas się zmieniają. Ale to nie znaczy, że nie ma niczego wiecznego, co byłoby prawdziwe. Prawdziwe jest lustro za odbiciami, głębia oceanu pod falami – świadomość, która jest w swej esencji taka sama w każdym z nas. I kiedy zanika przekonanie, że jesteśmy oddzieleni od innych, wszystko zaczyna działać się spontanicznie i bez wysiłku, tu i teraz. I to jest właśnie esencja buddyzmu.

Mówi się też, że buddyzm jest dla ludzi niezależnych, którzy lubią brać życie w swoje ręce i nie ulegają politycznej poprawności. Pomagać biednym krajom? Znowu będą niepoprawny politycznie i niestranny dla katolików, ale myślę, że powinniśmy przekonywać ludzi w biednych krajach, żeby mieli mniej dzieci. Oni w ten sposób sami się zbijają. Nie ma żadnej szansy, żeby wszyscy przeżyli, a my ich nie przyjmujemy do Europy, bo bez wykształcenia ani wiedzy nie są przystosowani do życia we współczesnym świecie. Powinniśmy więc płacić dwa dolary kobietom, które mają jedno dziecko, jednego dolara – kobietom mającym dwoje dzieci, i nic nie płacić w przypadku większej liczby dzieci. To jedyny sposób, żeby ich liczba zmalała. Mniejsza ilość dzieci poprawi jakość ich życia – każdy będzie mógł zdobyć wykształcenie, korzystać z dostępu do opieki medycznej i mieć szansę na godne życie. W Senegalu, Nigerii i innych krajach afrykańskich każda kobieta ma średnio sześćcioro dzieci. Te kraje już teraz są zniszczone, wiele gatunków zwierząt wymiera, wszystko upada. Kościół powinien w odpowiedzialny sposób użyć swojego autorytetu i ochronić świat, zalecając tam kontrolę narodzin. Nie mam na myśli aborcji – jestem jej przeciwnikiem – ale kontrolę narodzin. W ten sposób urodzą się tylko te dzieci, które będą miały szansę przeżyć i którym będzie można zapewnić właściwe warunki życia.

Rozmawia Marcin Mindykowski

Chce Pan przez to powiedzieć, że tradycyjne religie bazują na wzbudzaniu w ludziach poczucia winy? Myślę, że bazują na niewiedzy. To z niewiedzy biorą się przeszkadzające uczucia. Trzeba zdać sobie sprawę, że nasz umysł jest jak oko. Może zobaczyć wszystko wokół, ale nie może zobaczyć sam siebie. A jeżeli umysł nie może zobaczyć siebie, wówczas nasza świadomość postrzega świat wyłącznie z poziomu „ja”. Kiedy „włączymy” również myślenie na poziomie „ty”, otworzymy się i wykroczymy poza ramy tego ciasnego, egoistycznego świata. W przeciwnym razie do głosu dochodzą szkodliwe emocje: przywiązanie, pożądanie, zazdrość czy ograniczająca duma. Kiedy pojawiają się one w umyśle, wówczas robimy, myślimy i mówimy głupie rzeczy. Wracą to do nas w postaci niekorzystnych rezultatów – jesteśmy chorzy, nikt nas nie lubi, mamy problemy. I zapominamy, że sami zasadziliśmy kaktusy, na których siedzimy. I znowu robimy, myślimy i mówimy coś głupiego – i koło ponownie się zamyka...

A na jakich prawach mamy dzielić się tym, co wspianiale? Pomagać biednym krajom? Znowu będą niepoprawny politycznie i niestranny dla katolików, ale myślę, że powinniśmy przekonywać ludzi w biednych krajach, żeby mieli mniej dzieci. Oni w ten sposób sami się zbijają. Nie ma żadnej szansy, żeby wszyscy przeżyli, a my ich nie przyjmujemy do Europy, bo bez wykształcenia ani wiedzy nie są przystosowani do życia we współczesnym świecie. Powinniśmy więc płacić dwa dolary kobietom, które mają jedno dziecko, jednego dolara – kobietom mającym dwoje dzieci, i nic nie płacić w przypadku większej liczby dzieci. To jedyny sposób, żeby ich liczba zmalała. Mniejsza ilość dzieci poprawi jakość ich życia – każdy będzie mógł zdobyć wykształcenie, korzystać z dostępu do opieki medycznej i mieć szansę na godne życie. W Senegalu, Nigerii i innych krajach afrykańskich każda kobieta ma średnio sześćcioro dzieci. Te kraje już teraz są zniszczone, wiele gatunków zwierząt wymiera, wszystko upada. Kościół powinien w odpowiedzialny sposób użyć swojego autorytetu i ochronić świat, zalecając tam kontrolę narodzin. Nie mam na myśli aborcji – jestem jej przeciwnikiem – ale kontrolę narodzin. W ten sposób urodzą się tylko te dzieci, które będą miały szansę przeżyć i którym będzie można zapewnić właściwe warunki życia.

Rozmawia Marcin Mindykowski

Chce Pan przez to powiedzieć, że tradycyjne religie bazują na wzbudzaniu w ludziach poczucia winy? Myślę, że bazują na niewiedzy. To z niewiedzy biorą się przeszkadzające uczucia. Trzeba zdać sobie sprawę, że nasz umysł jest jak oko. Może zobaczyć wszystko wokół, ale nie może zobaczyć sam siebie. A jeżeli umysł nie może zobaczyć siebie, wówczas nasza świadomość postrzega świat wyłącznie z poziomu „ja”. Kiedy „włączymy” również myślenie na poziomie „ty”, otworzymy się i wykroczymy poza ramy tego ciasnego, egoistycznego świata. W przeciwnym razie do głosu dochodzą szkodliwe emocje: przywiązanie, pożądanie, zazdrość czy ograniczająca duma. Kiedy pojawiają się one w umyśle, wówczas robimy, myślimy i mówimy głupie rzeczy. Wracą to do nas w postaci niekorzystnych rezultatów – jesteśmy chorzy, nikt nas nie lubi, mamy problemy. I zapominamy, że sami zasadziliśmy kaktusy, na których siedzimy. I znowu robimy, myślimy i mówimy coś głupiego – i koło ponownie się zamyka...

A na jakich prawach mamy dzielić się tym, co wspianiale? Pomagać biednym krajom? Znowu będą niepoprawny politycznie i niestranny dla katolików, ale myślę, że powinniśmy przekonywać ludzi w biednych krajach, żeby mieli mniej dzieci. Oni w ten sposób sami się zbijają. Nie ma żadnej szansy, żeby wszyscy przeżyli, a my ich nie przyjmujemy do Europy, bo bez wykształcenia ani wiedzy nie są przystosowani do życia we współczesnym świecie. Powinniśmy więc płacić dwa dolary kobietom, które mają jedno dziecko, jednego dolara – kobietom mającym dwoje dzieci, i nic nie płacić w przypadku większej liczby dzieci. To jedyny sposób, żeby ich liczba zmalała. Mniejsza ilość dzieci poprawi jakość ich życia – każdy będzie mógł zdobyć wykształcenie, korzystać z dostępu do opieki medycznej i mieć szansę na godne życie. W Senegalu, Nigerii i innych krajach afrykańskich każda kobieta ma średnio sześćcioro dzieci. Te kraje już teraz są zniszczone, wiele gatunków zwierząt wymiera, wszystko upada. Kościół powinien w odpowiedzialny sposób użyć swojego autorytetu i ochronić świat, zalecając tam kontrolę narodzin. Nie mam na myśli aborcji – jestem jej przeciwnikiem – ale kontrolę narodzin. W ten sposób urodzą się tylko te dzieci, które będą miały szansę przeżyć i którym będzie można zapewnić właściwe warunki życia.

Rozmawia Marcin Mindykowski